ROK I. ŚRODA. 6 KWIECIEŃ. 1842.

Roczniki krytyki literackiéj wychodzą dwa razy w tydzień, we Środę i w Niedzielę, w objętości dużego pół arkusza. Numerów pięćdziesiąt i dwa, czyli jedno półrocze, stanowić będzie Tom; — dwa Tomy stanowią całość.

Przedpłata roczna wynosi Zł. 36; półroczna Zł. 20; kwartalna Zł. 12. — Prenumerować można:

W Redakcyi Roczników krytyki literackiéj, przy ulicy Tłomackie Nr. 739 w pałacu dawniéj Ossolińskich, w officynie na 1szém piętrze;

U osób prywatnych które się tem zajmować raczą;

We wszystkich znaczniejszych księgarniach w kraju i za granicą;

Na Urzędach i Stacjach Pocztowych w królestwie; lecz tam jedynie za przedpłatą roczną lub półroczną.

Szan: Prenumeratorowie w Warszawie mieszkający, na żądanie nadesłane sobie mieć będą Roczniki do mieszkań swoich bez żadnéj nadpłaty.—

№ 27.

ROCZNIKI KRYTYKI LITERACKIEJ.

REDAKTOR GŁÓWNY: F R. HENRYK LEWESTAM.

NAD ZIEMIĄ I NA ZIEMI. PODRÓŻ I DWIE POWIEŚCI.

Tom pierwszy. W Warszawie 1842.

Taki jest tytuł dzieła, którego wartość i zalety zapowiedział wydany na widok tom pierwszy. Jego autor zamierzył sobie oswoić czytelnika z umiejętnościami przyrodzenia w ogólności, a w tomie pierwszym z budową wszechświata w szczególności. Mimo to co przy końcu tego tomu zapowiada, nie można przewidzieć co sobie zamierzył wyłożyć w tomach następnych. Gdyby zamiast tytułu, pod jakim wyszedł tom pierwszy, autor był przybrał tytuł—»Pod ziemią, na ziemi i nad ziemią, podróż»—i gdyby według takiego założenia był wykonał swój zamiar, praca jego ożywiona przysposobionym przezeń trybem humorystycznym, mogłaby niechcący stać się systematyczną, mianowicie prowadzić czytelnika bez przeskoków od jednéj umiejętności do drugiéj, zawsze sposobem popularnym. W tym razie autor nie byłby nadwerężył harmonji i jedności tytułu objętemi nim słowami —»i dwie powieści«— które to powieści są zagadką dla czytelnika tomu pierwszego, bo wiedzieć nie można czy to one zajmują czoło tomu pierwszego, czy inne wystąpią w tomach następnych. Przez podróż pod ziemią rozumiemy wydział ziemioumstwa czyli Geologji, zdolny dostarczyć ważnych i płodnych materjałów do dzieła takiego, jakie nam zapowiedział tu roztrząsany tom pierwszy.

Wiadomo że Sokrates, ten nadzwyczajny w starożytności nauczyciel, miał a przynajmniéj uznawał tak zwanego *Demona*, niewidzialnego lecz nieodstępnego spraw swoich ostrzegacza. Wiadomo także, że panującą zaletą w nauczeniu udzieloném przez Sokratesa było, prowadzić ucznia od wiadomości najprostszych do coraz więcéj złożonych, od znanych do nieznanych. Towarzyszący w podróży nadziemskiéj bohatyrowi dzieła tu roztrząsanego djabeł kulawy ze szczudłem, gra nieledwie tę samą rolę, którą grał demon Sokretesa, z tą różnicą, że głównym zamiarem Demona była nauka życia, djabła zaś szczudłowego jest nauka umiejętności.

Tak chwalebny zamiar powziąwszy nasz autor powinien był prowadzić nas drogą Sokratesa od wiadomości najprostszych do coraz więcéj złożonych: byłby zaś trafił do tego celu za pomocą założenia skazanego doradzonym wyżéj tytułem, za pomocą dobrych chęci swoich, nakoniec za pomocą płodnego w pomysły przewodnika swego, to jest szczudłowego djabła. Ale i w takim stanie, w jakim się ukazała, praca naszego autora jest zdolna wzbudzić pożądanie ujrzenia tomów mających bydź dalszym ciągiem pierwszego. Skutkiem takiego pożądania wynurzymy z kolei, po dopiero uczynionéj nad ogółem uwadze, następujące nad szczegółami postrzeżenia. Te postrzeżenia ściągać się będą *napizód* do języka, który z pióra autora naszego płynie w swojéj czystości, *potém* do rzeczy, stanowiącéj tkankę dzieła. Na stronnicy 5. zamiast *o pierwszém zorzu świtaniu*, powinno bydź *o pierwszém zorzy świtaniu:* zamiast *w odludnéj wśród głuchéj puszczy folwarku* powinno bydź *w odludnym......* Są to zapewne pomyłki druku, równie jak kropka niewłaściwie na téj stronicy położona po wyrazie *żniwiarzy*. Zamiast (stron. 7): *kto inny zdołałby godniéj odpowiedzieć oczekiwaniu upragnionych nowości słuchaczów*, byłoby jaśniéj: *któż zdołałby godniéj uiścić się oczekiwaniu słuchacza spragnionego nowości?* Zamiast (str. 8) *prowincjonalny*, powinno bydź *prowincjalny*, Zamiast (str. 18) *podjąwszy oczy postrzegłem*, powinno bydź *podniósłszy oczy....* Myśli następującego wyrażenia (str. 21) *dziwna i jakby dająca się czuć na dotknienie sprężystości powietrza* nie mogliśmy odgadnąć ani go sprostować. W następującém wyrażeniu (str. 33) *którą wolność życia—najświętsza i najprzyzwoitsza skromność przewodniczyła*, zamiast *którą* powinno bydź *któréj*: bo mówi się *przewodniczyć komu*, nie mówi się *przewodniczyć kogo*. Słowo dalekowidz na stronicy 40 i innych, bierze autor w znaczeniu teleskopa. Ale właściwie dalekowidz oznacza *presbyta*, tojest widzącego w odległości: przepolszczonym zaś teleskopem jest *dalekowid*. Radzimy autorowi aby unikał niewłaściwego naszemu językowi przekładania wyrazów, tego zabytku czasów, w których nasza mowa była zarażona i wykrzywiona łaciną. Na stronnicy na przykład 41 tak się wyraża: *i niezupełnie przyjaznem tchnęła postawa jego usposobieniem*; Byłoby może jaśniéj i właściwiéj: *Postawa jego tchnęła nie bardzo przyjaznem usposobieniem.* Zgodnie z naturą naszego języka *planeta* i *kometa* są u autora rodzaju żeńskiego, bo takiego są rzeczywiście ze względu na swe przypadkowanie, przywiązane wyłącznie do rzeczowników rodzaju żeńskiego. Rzecz osobliwa, iż nasi Astronomowie chcieli zniewolić rodzaj męzki dla tych dwóch rzeczowników. Są one takiego rodzaju w języku greckim, lecz tam mają zakończenie właściwe rzeczownikom rodzaju męzkiego. Są rodzaju żeńskiego w języku francuzkim, bo tu mają zakończenie właściwe rzeczownikom tegoż rodzaju. Dla téj samej przyczyny są rodzaju żeńskiego w polskim języku.

Z niemniejszą obrazą uszu i czucia narzucają nam pisarze z powołania, to jest którzy daleko więcéj pisali i piszą, niż czytali i czytają, *przyrodę* w miejsce przyrodzenia czyli natury, słów dla naszego języka od dawna przysposobionych. Nasz autor nie zeszpecił swéj książki *przyrodą*. Zna on tylko przyrodzenie. Jeżeli przyroda ma wejść w miejsce przyrodzenia, tedy nauki przyrodzone powinny się nazywać przyrodnemi lub przyrodziwemi: bo jak z rzeczownika uroda tworzy się przymiotnik *urodny* i *urodziwy*, tak z narzucanéj przyrody tworzony przymiotnik byłby *przyrodny* i *przyrodziwy*.

Przejdźmy teraz do rzeczy stanowiącéj tkankę książki. Pod tem założeniem obéjmiemy następujące postrzeżenia.

Na stronnicy 19 Djabeł szczudłowy przemawia w tych słowach:—»Dla czegóżby spadać miały gwiazdy, gdy nic nie spada w naturze, nie wyłączając nawet tego jabłka, które oderwawszy się od drzewa wprowadziło Newtona na pierwszy domysł siły attrakcji?»— Zważając że ciężkość powszechna i ten z jéj wypadków który nazywamy spadaniem ciał, a razem wiedza tego czynu, są tak dawne jak świat, że zatem ustęp dopiero przytoczony, jako sprzeczny z prawdą, mógłby ujść tylko w ustach naszego szczudłowego mentora, wolelibyśmy go, ten ustęp, czytać w następującéj postaci.—»Dlaczegóżby spadać miały gwiazdy, gdy nic nie spada w naturze, nie wyłączając nawet owych aniołów, którzy skutkiem podniesionego przeciwko swojemu Stwórcy rokoszu mieli spaśdź z nieba do piekła?»

Ustęp stronnicy 80 — »Słońce przyciąga ziemię i wszystkie inne gwiazdy, nie tylko dla tego że jest większe od każdéj lecz że przenosi objętością wszystkie razem wzię-

te,» —ma po sobie tyle prawdy, o ile przez gwiazdy mamy tu rozumieć planety składające nasz świat słoneczny. Ktoby na tym ustępie przerwał czytanie książki naszego autora, mógłby go posądzić o nieznajomość początkowéj Astronomji: ale niesłusznie, bo w dalszym ciągu oznajmia czytelnika ze światem słonecznym, i daje uczuć różnicę między gwiazdami a planetami. Żałować tylko trzeba że późniéj rozwiódłszy się nad układem świata słonecznego, nie rozjaśnił go figurą, zwłaszcza dla stronnicy 174, równie potrzebną jak te które przyłączył do swojéj książki.

Wyrażenie stronnicy 87 —» Gdy sile attrakcji sprzeciwia się siła rzutu i siła odśrodkowa, co jest najpodobniéj to samo, ustala się równowaga» —jest przyćmione zdaniem *co jest najpodobniéj to samo*. Jeżeli bowiem to zdanie ma oznaczać, iż siła rzutu jest to samo co siła odśrodkowa; tedy, jako sprzeczne z prawami mechaniki niebieskiéj, ostać się nie może.

Na stronnicy 95 uprzedziwszy autor że ziemia jest spłaszczona u biegunów a wzdęta przy równiku, powiada, zapewne mimowolnie, że ten czyn nadawał jéj —» postać ellipsy mającéj dwie osi bardzo zbliżone do środka« bo trzeba było powiedzieć — że skutkiem owego czynu tarcza ziemi, widzianéj z przstrzeni, wydawała się w postaci ellipsy, któréj dwa ogniska są bardzo zbliżone do środka: »a razem przyłączyć figurę ellipsy tak tu jak niżéj, gdzie mowa o drodze planet, potrzebną.

Żałujemy iż na stronnicy 116 i na innych nazywa autor *półcieniem* to, co w naszym języku nazywa się *przycień* (pénombre).

Na stronnicy 117 latawiec naszego autora uniesiony przez szczudłowego djabła w przestrzeń, gdzie temperaturę skazywały 50 niżéj zera, czyli topniejącego lodu, narzeka na nieznośne zimno, a jego mentor dowodzi mu że zmarznąć nie może, dla tego że się znajduie w czczości. —» Wiesz, są słowa djabła, że, aby ciało ciepłe uziębyło, potrzeba aby cieplik dążący bez przerwy do równowagi, przeszedł z ciała ciepłego do zimnego, którego się dotyka. To prawo równowagi ciepli a sprawia, że ten przechodzi z ciała do ciała, dopóty aż oba w ściśle jednostajnej znajdą się temperaturze. Lecz gdy ciało jest w czczości odosobnione, najmniejszéj cząstki cieplika utracić nie może»—. Dla powiedzenia się nadziemskiéj podróży, trzeba było aby nasz empirejski podróżny nie zmarzł na śmierć w temperaturze 50 niżéj zera. I mogło się to stać skutkiem czarodziejskiéj władzy djabelskiego mentora, lecz nie mogło się stać skutkiem zasady wysłowionéj w dopiero przytoczonéj jego prelekcji, a sprzecznéj z prawem stygnienia ciał w czczości. Dosyć byłoby wiedzieć z Fizyki, iż wyziewy tworzą się chwilowo (instantanément) w czczości, aby nie dawać wiary zasadzie wyrzeczonéj przez naszego djabła.

Ale silniéj obala tę zasadę prawo stygnienia ciał w czczości odkryte i roku 1818 światu objawione przez znakomitych francuzkich fizyków *Dulong* i *Petit*, przywodzące się do téj treści, że ciała nietylko stygną w czczości, lecz że od pierwszéj do ostatniéj chwili, prędkość ich stygnienia — zrazu największa maleie nieustannie: że następnie w obecnym przypadku nasz nadziemski podróżny musiałby w czczości umierać z zimna gdyby nawet mógł się obejść bez oddychalnego powietrza, którego brak zastąpiła zapewne czartoska władza szczudłowego mentora, chociaż tę okoliczność nasz autor pokrywa milczeniem.

Żałujemy że następujący piękny ustęp stronnicy 254 —« Materja przekształca się tylko, ale nie umiera i *własności* jéj trwają wiecznie! skutkiem czego, jak feniks ze swych popiołów, odradza się człowiek» —, znacznie traci przez słowo *własności*, w którego miejscu powinno się znajdować słowo *pierwiastki* (éléments). Chymja, do któréj cały ten ustęp należy, dopomina się o to sprostowanie. Własności ciał należą do fizyki. Chymja, w obecnym razie, nie potrzebuje ich pożyczać dla siebie.

Żałujemy także, że autor w podawaniu wzajemnych odległości ciał niebieskich używa mil francuzkich, zamiast polskich. My w astronomji zwykle, tak jak Niemcy, bierzemy 15 mil tam gdzie Francuzi biorą swoich 25. Odejmuje tedy autor swemu czytelnikowi zdolność wystawienia sobie owych odległości, jako opartych na obcéj, dla niego nieznanéj, jedności czyli

miarze podłużnéj. Byłożby miło autorowi gdyby naszych kupców sukiennych opanował kaprys rachowania się z nim na *Yard* zamiast na polski łokieć? A nie czyń tego drugiemu czego nie chcesz aby tobie czyniono.

Właśnie okoliczność używania mil francuzkich przez naszego autora kazała nam domyślać się, iż swoją podróż nadziemską wziął z francuzkiego utworu. Jakož tym utworem są dwa artykuły, z podpisem *Boitard*, umieszczone w *Musée des familles*, jeden w zeszycie Grudniowym roku 1838 pod tytułem *Voyage dans le soleil*, drugi w Lutowym roku 1839 p. t. *Les planètes*. Praca naszego polskiego autora jest przerobieniem francuzkiego utworu. Żałujemy, że objętych francuzkim oryginałem trzech ważnych figur, tojest ziemi widzianéj i uważanéj z przestrzeni pod względem geograficznym i astronomicznym, powtóre drogi elliptycznéj planet, potrzecie układu świata słonecznego, opatrzonych nauczającemi objaśnieniami, nie znajduiemy w naszym polskim tekście.

Mimo te i tym podobne usterki swoje, podróż nad ziemią i na ziemi, ma tyle zalet że zasługuje na dobre w powszechności wzięcie: zasłuży zaś na tém lepsze, jeżeli autor zechce w dalszym ciągu i przy dokończeniu przedsiewziętéj pracy, uprzątnąć małe uchybienia, jakie mogliśmy i jakich nie mogliśmy dostrzedz, a do wytknięcia których powzięty dla jego pracy i chęci szacunek stał się nam powodem.

A. K.

STARO DAWNA LITERATURA INDYJSKA.

Literatura staro-indyjska, cały ten skarb dzieł umysłowych, jakie w przeciągu przeszło dwóch tysięcy lat wydała Azja południowa, aż do końca prawie zeszłego wieku zupełnie jakby nieznaną była całéj Europie uczonéj i oświeconéj, — równie jak narody w których posiadaniu istniała. Przy ogromném oddaleniu, niemniéj jak przy różnicach politycznych, religijnych i językowych, handlowe nawet styczności nie potrafiły zbliżyć te narody do naszego usposobienia, — zwłaszcza że i kupcy europejscy szukający i znajdujący w Indjach źródła nowych bogactw, długo się trzymali zasady utajenia wszelkich wiadomości o tym kraju, aby nie wzniecić tém samém ochoty do współubiegania się. Dopiero gdy Anglicy uzyskali w Indjach ogromne krainy, gdy wielu urzędników angielskich, ludzi poczęści gruntownie naukowo wykształconych, wpływ otrzymało na losy kraju, otwarły się dla Europy widoki poznania plemienia, języka i mądrości Indjan: — a w kilku dziesiątkach które od tego czasu upłynęły, naukowość europejska tak ogromne już w téj literaturze uczyniła zdobycze, że każdy światły Europejczyk z dnia na dzień bardziéj się stara o znajomość tych skarbów poetycznych, filozoficznych, filologicznych i uczonych.

Język w którym przechowała się literatura staro-indyjska nazywa się językiem *sanskryckim*; — jest to, jak wiadomo, język od dawna już zupełnie umarły, wszakże ciągle go jeszcze Indjanie uwielbiają jako djalekt Bogów i jako źródło wszelkiéj nauki i wykształcenia. Rzeczywiście uważać go można za ojca nietylko wszystkich narzeczy indyjskich, ale wszystkich także języków europejskich.

Podział na kasty u Indjan istniejący wpływów swoich i na literaturę tego kraju wywrzeć nie omięszkał. Skutkiem tego podziału stanęła nieprzebyta przegroda między literaturą świętą a świecką: zgłębianie pierwszéj z nich należy wyłącznie do Braminów, — czwartéj zaś kaście pod karą śmierci żadnéj księgi świętéj czytać nie wolno, a pozwolenie przysłuchiwania się za dowód szczególnéj uchodzi łaski. — Na czele całéj literatury świętéj, całego w ogóle piśmiennictwa indyjskiego, stoją *cztéry święte Wedy*, na których się zarazem zupełny skład polityczny tego narodu zasadza, *Wedy* uważane bywają za objawienie najwyższego ich bożka *Brahmy*; — utrzymane przez czas niejaki w ustach ludu, zebrane potém zostały przez *Wiazę* (nazwisko oznaczające *zbieracza*), któremu dużo jeszcze innych dzieł przypisują, i który ze względu na Wedy nazywa się *Weda-Wiaza*, t. j. zbieraczem Wedów.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)